

Szpiegowski sukces?

Tylko jeden jedyny raz udało się kierowanemu przez „mistrza” Gehlena oddziałowi antyradzieckiego wywiadu przy hitlerowskim OKH, rozpoznać koncentrację przeciwnika przed jego kolejną operacją zaczepną. Zdarzyło się to na przełomie lat 1944—1945, przed tzw. wchodniopruską operacją 2 i 3 Frontu Białoruskiego oraz (mającą nastąpić jednocześnie) tzw. wśląnsko-odrzańską operacją 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego.

Niepotrzebny był cud

Aż do połowy grudnia 1944 roku Gehlen zapowiadał, iż Armia Radziecka odważy się na atak z nad Wisły w kierunku zachodnim — na Śląsk i Poznań dopiero po zakończeniu swych działań przeciwko wschodnio-pruskiemu zgrupowaniu Wehrmachtu. Nie wcześniej więc niż u schyłku zimy. W związku z tym np. termin zakończenia prac fortyfikacyjnych wokół i w samej „Festung Posen”, ustalony został przez szefa Sztabu Generalnego OKH gen. Guderiana, na 28 lutego 1945 roku.

Jednak przed Gwiazdką 1944 roku, Gehlen zaalarmował Guderiana odmiennym przypuszczeniem, potwierdzonym przez dane wywiadowcze, jakie zdołano zdobyć do 5 stycznia 1945 roku: ofensywy radzieckiej z nad Wisły, wymierzonej w kierunku zachodnim, należy spodziewać się już w styczniu.

Ów rzekomy sukces wywiadowczy, został po wojnie rozreklamowany w Niemczech zachodnich jako dowód genialności szpiegowskiej Gehlena oraz cudów dokonanych przez jego służbę. Zwróćmy wszakże uwagę: dla wykrycia dopiero na przełomie grudnia 1944 roku i stycznia 1945 roku tak potężnej (3 miliony żołnierzy) koncentracji Armii Radzieckiej nad Wisłą (a zatem wywnioskowania, iż przyszłe jej działania będą wymierzone też na zachód) nie trzeba było dokonywać cudownych wyczynów.

Koncentracja ta była (musiała być) już wówczas tak dalece zaawansowana, iż nie można jej było w pełni ukryć nawet przed rozpoznaniem lotniczym. Zaś Gehlen nie ograniczał się do informacji Luftwaffe. Np. jeszcze w początkach 1944 roku rozbudował na wschodnich obszarach tzw. Generalnej Gubernii gestą siatkę swych agentów, którzy po wyzwoleniu tych ziem nie zostali oczywiście natychmiast wyłapani, mogli więc przekazywać (choćby



Nr 196

25. VII. 1965

Rok V

drogą radiową) mnóstwo informacji szpiegowskich.

Niedostrzeżone armie

Ustalmy jednak, co Gehlen rzeczywiście wiedział o koncentracji radzieckiej nad Wisłą. Możemy to dziś uczynić w oparciu o oryginalne dokumenty. Straciły bowiem wagę „najściślej tajnych” nawet osławione raporty Gehlena, przedstawiane Guderianowi. Można je znaleźć, wybrać, skompletować spośród 7.000.000 (słownie: siedem milionów) dokumentów składających się na dostępne historykowi archiwum naczelnego dowództwa hitlerowskiego.

Rozważmy więc dane najpóźniejszego i najpełniejszego raportu Geh-

Tajemnice hitlerowskich sztabów (4)

lena o koncentracji radzieckiej nad Wisłą, sporządzonego mianowicie dopiero 15 stycznia 1945 roku o godzinie 12.

M. in. siły 1 Frontu Ukraińskiego (czwarty dzień nacierające już wówczas z przyczółka sandomierskiego) Gehlen szacował na 42 dywizje piechoty (było ich w rzeczywistości 57!) oraz na 8 korpusów pancernych. Tych ostatnich było 9, ale że do rana 15 stycznia wszystkie weszły do akcji, więc niepełne skorygowanie liczby korpusów (zaniżonej jeszcze 5 stycznia do 5) trudno nazwać wyczynem. Dla odmiłny lewoskrzydłowe zgrupowanie wojsk 1 Frontu Białoruskiego (nacierające wówczas drugi dzień z przyczółka puławskiego) zostało ocenione trafnie tylko pod względem liczby związków piechoty (2 armie); natomiast z 2 walczących już korpusów pancernych wciąż był brany pod uwagę tylko jeden.

Co zaś miało mieć najpoważniejsze następstwa: nawet po siedemnastu godzinach działań podejmowanych z przyczółka magnuszewskiego przez główne zgrupowanie 1 Frontu Białoruskiego, Gehlen nie zdawał sobie sprawy z jego siły uderzeniowej. Twierdził, iż w tym rejonie znajdują się obok czterech armii ogólnowojskowych (tyle było) zaledwie dwa korpusy pancerne i samodzielna jednostka pancerna, dysponujące łącznie ponoć tylko... 460 wozami bojowymi.

Właśnie zaś o tej samej godzinie, kiedy Gehlen przedkładał Guderianowi owe dane (15 stycznia, 12.00 czasu środkowo-europejskiego), z te-

renów dotychczasowego przyczółka magnuszewskiego wchodziły w wyłomy, wyrabane już we froncie niemieckim przez radzieckie armie ogólnowojskowe (nota bene każda z nich posiadała własną grupę pancerną w sile mniej więcej korpusu), nieoczekiwane przez Gehlena, nie wykryte przez jego służbę wywiadowczą... 2 armie pancerne gwardii. Te właśnie armie, posiadające początkowo 1700 wozów bojowych, za ledwie tydzień później miały dotrzeć swymi pancernymi zagonami pod Bydgoszcz, Chodzież, Poznań.

Zatem wywiad Gehlena, nawet w tym przypadku rozreklamowanym przez historyków zachodniemieckich, nie zdał egzaminu na piątkę. Nawet w czwartym dniu ofensywy radzieckiej z nad Wisły, kiedy strona radziecka ani nie mogła już kryć swych wojsk, ani np. zachowywać ciszy w eterze (co powinny wykonać placówki Gehlena), hitlerowski „arcymistrz wywiadu” nie mógł dostarczyć swemu dowództwu pełnego obrazu sił radzieckich zaangażowanych w działania na kierunku zachodnim.

Mało tego. Sam Gehlen, opierając się o owe niepełne dane (pomniejszające siły 1 Frontu Białoruskiego) zapowiadał walne uderzenie radzieckie jedynie na kierunku śląskim. Kierunek poznański lekceważył. Liczył, iż na nim nastąpi tylko radziecki manewr oskrzydlający Warszawę, co najwyżej docierający do linii Poznań—Bydgoszcz.

Spóźniony refleks

Swoją ekspertyzę Gehlen zmienił dopiero 20 stycznia, kiedy czołwki „przegapionych” armii pancernych gwardii były już w Koninie, Kole, pod Trzemeszmem i Inowrocławiem. Tego dnia alarmował w swoim kolejnym raporcie „Ogólne położenie wroga”:

„...Siły 1 Frontu Białoruskiego przebijają się dwiema armiami pancernymi ku rubieżi Poznań—Bydgoszcz(...) Operacyjne niebezpieczeństwo kryje się nie w rejonie Śląska, lecz w wielkim rejonie Poznania. Jeśli wrogowi uda się tu szybko opanować teren ku zachodowi, nie pozwoli on już na przeszkodzenie sobie(...), by najpierw zdobywając Odrę(...) uderzyć głęboko na zachód, po Berlin”.

W związku z tym Gehlen proponował nawet, by natychmiast zrezygnować z obrony Prus Wschodnich i przerzucić tamtejsze zgrupowanie Wehrmachtu dla osłony poznańskiego przedpoła Berlina, „ponieważ rosyjska ofensywa, jeśli nadal będzie przebiegała pomyślnie, może mieć znaczenie rozstrzygające wojnę, natomiast utrata Prus Wschodnich, choć bolesna, znaczy mniej, aniżeli przegranie wojny”.

Ów desperacki projekt Gehlena też nie wystawia dobrego świadectwa autorowi. Jakże to bowiem człowiek, który z racji swej funkcji powinien być najlepiej w całych Niemczech zorientowany w potęgę Armii Radzieckiej, mógł wierzyć jeszcze 20 stycznia 1945 r., iż uda się Trzeciej Rzeszy nie przegrać wojnę?

PERT metoda doskonała

Usprawniamy system zarządzania gospodarką

Nowoczesność i szybki rozwój gospodarki wymaga nowoczesnych metod kierowania procesami produkcji i budownictwa. Dawne metody już nie mogą sprostać zadaniu, jeśli mają prowadzić do optymalnych efektów, skutecznie eliminować błędne decyzje. Organizatorzy nie ustają więc w poszukiwaniach coraz lepszych sposobów zarządzania.

Coś dla matematyków

Jest taka metoda, PERT się w skrócie nazywa, która robi zawrotną karierę w świecie. Stosowana z entuzjazmem, bo wielokrotnie wypróbowana, daje doskonałe wyniki. Wprowadzona trzy lata temu w USA dotarła do Polski przed półtora rokiem, najpierw do Stoczni Gdańskiej, a stamtąd — poszła w kraj. W naszym województwie posługuje się nią, od sześciu miesięcy Dział Inwestycji Zakładów Cegielskiego i Zjednoczenie Budownictwa Przemysłowego.

W HCP metoda PERT pomaga realizować budowę odlewni w Śremie. Pierwsze doświadczenia potwierdzają jej przydatność, a efekty... O tym za chwilę. Najpierw, na czym ona polega?

Inżynier Wacław Kulesza, prekursor PERT-u u Cegielskiego mówi o niej dowcipnie, że to „metoda rozwiązywania układu kilkuset równań z taką ilością niewiadomych”. Zawiłe to dla antymatematyków, ale nie taki diabeł straszny, bowiem dzięki maszynom cyfrowym — niewiadome szybko tracą znaki zapytania.

Otóż PERT (skrót pochodzi od nazwy: Program Evaluation and Review Technique; rodzimego miana jeszcze nie ma) jest techniką planowania, wartościowania i kontroli przedsięwzięć. Mówiąc prościej, jej zastosowanie pozwala na bezbłędne scharmonizowanie w czasie wszystkich prac składających się na realizację dzieła, z równoczesnym uwzględnieniem wzajemnych powiązań i ich zależności. Sporządzony tą metodą harmonogram umożliwia jednocześnie wnikliwą kontrolę w

trakcie realizacji przedsięwzięcia i szybkie zapobieganie pojawiającym się nieprawidłowościom.

Trochę praktyki i teorii

U inżyniera Kuleszy wisí na ścianie wielki wykres zwany „siatką zależności”, obrazujący cały cykl realizacji śremskiej inwestycji. Z wykresu tego, opracowanego oczywiście metodą PERT wynika, które roboty i w jakim terminie (z podaniem dat) powinny być rozpoczęte i zakończone, aby dojść do planowanego końca całej budowy.

Dane te oblicza maszyna matematyczna, której podaje się do wiadomości tylko jedną datę rozpoczęcia inwestycji oraz kolejne czynności i niezbędny czas ich trwania. Zważywszy, że cała inwestycja śremska składa się z kilkudziesięciu dużych obiektów, a realizacja każdego — z 30—40 etapów, maszyna wykonuje ogromną robotę, praktycznie niemożliwą w „ołówkowym systemie”.

Maszyna przy tym określa, podając dwie daty: najwcześniejszą i najpóźniejszą, który z obiektów może być nieco spóźniony w realizacji, bez groźby dla całego przedsięwzięcia. Wskazuje równocześnie tzw. „drogę krytyczną”, a więc te czynności, które muszą być wykonane w terminie. Ma to ogromne praktyczne znaczenie, bowiem pozwala na elastyczne kierowanie i przemieszczanie potencjału wykonawczego (materiałów lub ludzi) z odcinków posiadających zapas czasu, na odcinki zagrożone.

Mały kłopot — duży zysk

Stosowanie metody PERT jest pozornie skomplikowane. W praktyce, kłopotów mało, ale korzyści za to — wiele. Dzięki tej metodzie Cegielskiemu udało się urealnić termin zakończenia budowy śremskiej odlewni i nanieść, w porozumieniu z wykonawcą, wiele poprawek w szczegółowych harmonogramach realizacji.

Siatka zależności zasygnalizowała np. że trzeba przyspieszyć budowę elektrociepłowni. Dlaczego? Okazuje się bowiem, że montaż urządzeń centralnej wytopialni wypadnie w zimie, a w związku z tym trzeba ogrzewać pomieszczenia, w których będą pracować monterzy. To oczywiście spowodowało także konieczność przyspieszenia dostaw generatorów, kotłów itp.

Drugi przykład: siatka wykazała, że kompresorownia, niezbędna dla pracy odlewni rozruchowej, może być zbudowana nieco później niż projektowano (przed zastosowaniem PERT). Tym samym moc przerobowa przedsiębiorstwa budowlanego wykorzystana się przy budowie obiektów na „drodze krytycznej” i opóźnił zakup kompresorów.

Przy pomocy metody PERT sporządzono plan finansowania śremskiej budowy. Z dużą dokładnością ustalono więc kalendarz kredytowania, unikając (w porównaniu do pierwotnego planu) zamrożenia funduszy inwestycyjnych w wysokości 300 mln. zł na przeciąg około roku. Oznacza to, że nie dopuści się do strat, z tytułu odsetek, procentów i kosztów kredytu, w granicach 30—40 mln. zł.

Wszedobylski system

PERT jest metodą uniwersalną. Można ją zastosować w planowaniu i kontroli wszelkich przedsięwzięć: na budowach i w przemyśle, w zaopatrzeniu i pracach naukowo-badawczych, przy remontach kapitalnych, modernizacji itp. Tak rozległe wykorzystanie znajduje ona już w wielu krajach. W bardzo szerokim zakresie stosuje ją także Stocznia Gdańska, Główny Instytut Górnictwa, Śląskie Zjednoczenie Budownictwa Przemysłowego i wiele innych.

Nie wyolbrzymiając roli, jaką PERT może spełnić w naszej gospodarce można śmiało powiedzieć, że istnieje szansa pozyskania w nim precyzyjnego narzędzia, nie tylko ułatwiającego kierowanie, ale przede wszystkim, eliminującego z procesu zarządzania wiele niewiadomych. Niektórzy, z szansy tej już skorzystali. Kto następny?

Józef Pieprzyk

Wielkopolski Lubuszanin

Zaraz po wyzwoleniu ziem zachodnich i opuszczeniu ich przez Niemców, z Poznania, miast i wiosek wielkopolskich ruszyła fala ludzi, do której dołączyli się przesiedleńcy z Bugu, by organizować tam nowe życie. Polski oracz chwycił za plug, polski robotnik wspólnie z technikami przystąpił do rozruchu w gruzach znajdujących się fabryk. Tym zmaganiom towarzyszyło życie kulturalne. Powstawały chóry, orkiestry, zespoły teatralne. W wielu miejscowościach inicjatorami i organizatorami tej działalności byli Wielkopolanie. Na teren obecnego województwa zielonogórskiego wjeżdżali oni folklor babimojski, wspierany przez wolsztyński, a dla całej nowej społeczności przyjęli nazwę lubuskiej, nawiązując w ten sposób do historii i akcentując odwieczną polskość tych terenów.

Minęło już 20 lat od wzięcia we władanie gospodarcze, polityczne i kulturalne tych ziem i z tej okazji złożmy wizyte jednemu z wielkopolskich działaczy — Janowi Bzdęcie. Przeczyszam, to były działacz wielkopolski. Przed wojną w rodzinnych stronach na Biskupinie (pow. Gołtyń) dał się poznać jako wybitny regionalista. Wiele piosenek i wycieczek ocalał tam od zapomnienia w monografii „Biskupianie”. W okresie okupacji i szalejącego terroru hitlerowskiego w Poznaniu przy ul. Poznańskiej 38 razem z innymi działaczami w r. 1942 zorganizował tajne

święto ludowe. Grali na nim zaproszeni dudziarze biskupińscy. A po wyzwoleniu cały swój entuzjazm i doświadczenie przeniósł do podzielnogórskiej wioski Przylep. Nie zerwał jednak kontaktu z rodzinnym powiatem. Właśnie w Gostyniu poznał go na walnym zebraniu Społecznego Komitetu Regionalnego Powiatu Gostyńskiego. Były propozycja, żeby wrócił. Nic z tego. Jan Bzdęga to już działacz lubuski. Związał się z ziemią, z ludźmi, z ich kłopotami i radościami. Praca kierownika Powiatowego Domu Kultury w Czerwińsku i opiekuna klubu kulturalnego w Przylepie nie jest łatwa i — chyba to jeszcze bardziej zaważyło na jego decyzji pozostania. Wydaje mi się, że zasmakował w pokonywaniu trudności.

Odwiedziłem go ostatnio. Szczupły jak zawsze, nieco zamyślony, z życzliwym uśmiechem na twarzy nie zdradzając, że już dawno przekroczył pięćdziesiątkę lat, informował mnie o swoim Przylepie. Że wieś liczy 196 domów i 225 rodzin, że prawie z każdej rodziny ktoś dorabia w Zielonej Górze, Czerwińsku i innych miastach, że komunikacja wspaniała: przeszło 100 kursów autobusowych, kolei i... lotnisko aeroklubu (!), że co drugi dom z telewizorem. Zna wszystkich. Pomógł mu w tym niewątpliwie żona, która tu przez wiele lat uczyła w szkole.

Mieszkańców można by podzielić na dwie zasadnicze grupy: starszych — przybyłych z różnych stron kraju,

i liczną, tu urodzoną młodzież. O ile starsi jeszcze niezupełnie się zasymilowali pod względem kulturowym, żyjąc i nowoczesnością i okrucami wniesionej tradycji, o tyle młodzież ubóstwia teraźniejszość i przyszłość. Na obie grupy duży wpływ wywiera oddalona zaledwie o 4 km stolica województwa. Jaka ta młodzież? Jak młodzież. Cechą dobrą jest jej ambicja.

— „zresztą pan oświeście się przekona — powiedział i przeszedł do spraw rodzinnych. I jak to bywa przy tej okazji przeglądaliśmy pamiątkowe fotografie, trochę wspomnień z Biskupiny i rozmowy na temat dud. Właśnie otrzymał list od Stanleya Grodzkiego z Toronto (Kanada). „Panorama Północy” (13 grudnia ubr.) artykułem o dudziarzach przypominała mu rodzinna Wielkopolskę. Ma już 100 płyt z nagraniami piosenek „Mazowsza” i „Śląska”. „Może by mi taką płytę na Dudach przysłał, to ja Panu zaplać” — pisze Grodzki. Cóż — to raczej nie pod adresem Bzdęgi, ale „Polskich Nagrań”.

Już czas wybrać się do Klubu. Po drodze oglądamy budowane pomieszczenia na maszyny i traktory Kółka Rolniczego. Wieś schludna. To Wielkopolanie pierwsi wprowadzili zwyczaj zamykania drogi i podwórzy, utrzymywania ładu w obediach gospodarskich. Przykład znalazł naśladowców, nikt nie chce być gorszy.

A oto klub! Kiedyś budynek ten pachniał wódką i piwem. Z inicjaty-

wy Bzdęgi zamieniono knajpę w świetlicę. I kiedy jeszcze głucho w kraju było o klubach, pomysł nowoczesnej placówki tu przybrał kształty realne. Zespoły montowały i prowadził nasz eks-Wielkopolanin.

W małej salce Klubu już zebrał się aktyw koła ZMW, który własną pracą odnowił tu lokale i prowadził różnego rodzaju zajęcia. Część tego aktywu zaatakowała J. Bzdęgę za niezrozumienie młodzieży, za stawianie jej dużych wymagań. A właściwie sednem sporu była sprawa lepszego poszanowania instrumentów muzycznych, przydzielonych przez PDK, punktualności i solidnej pracy. Starły się tu dwa interesy: prywatny (grać i zarabiać) i społeczny (szanować majątek społeczny i dobrze pracować) — reprezentowany przez Bzdęgę. Nie bronili się on. Stawiał tylko argumenty przemawiające za słusznością swojego postępowania. Spokoje i rzeczowością ujął wszystkich. Wnet odezwały się głosy stojące po jego stronie.

Tu, w przerwie przed występiami artystycznymi, młodzi przyłepianie dzielili się ze mną wrażeniami z odwiedzin rodzinnych stron Jana Bzdęgi. Z jego inicjatywy pojechali do Sułkowie w r. 1962. W następnym roku delegacja młodzieżowa z tej wioski przybyła do Przylepu. W r. 1964 przyłepianie znowu zawitali na Biskupinę. Te kontakty dały im dużo korzyści. Przyglądali się za radności gospodarce Wielkopolan, wysoko postawionej kulturze rolnej.

Późna noc. Wracamy do domu. — Trzeba mieć dużo cierpliwości — mówi do mnie J. Bzdęga — aby młode pokolenie w Przylepie przyswoić do wspólnego działania, dobrej pracy organizacyjnej i działalności. Najważniejsze, że się zmienia na lepsze.

Spotkanie z Armenią

Pytanie: co robić jeśli tygrys napadnie na teściową?

Odpowiedź: nic nie robić. Jeżeli sam napadł, niech się sam bronil.

Ten żart, z serii pytań do Radia Erewań, opowiadano mi w stolicy Armenii. Wiele innych kursuje i u nas. Ale, przepraszam, co więcej wiemy o tym pięknym kaukaskim kraju? Jeśli wierzyć prywatnej ankiecie, którą przeprowadziłem wśród znajomych — raczej niewiele. Jedni przebywali tam w czasie wojny i nie wiedzą co od tego czasu uległo zmianie. Drudzy byli tam nawet niedawno, ale bardzo krótko, ledwie zdążyli spojrzeć. Inni widzieli kiedyś film o Armenii...

„Dziwne miasto, Erewań. Kiedy się patrzy z góry, spod monumentu zwycięstwa wzniesionego w 1945 roku na cześć zakończenia wojny, mieni się innymi, niż nasze, kolorami. Ściany domów popielate, różowawe, jakby fiołkowe, czy też rdzawe. To tuf, czyli kamień pochodzenia wulkanicznego, podstawowy w Armenii materiał budowlany nadaje budynkom taką barwę. Po prawej — Erewańskie Czeremuszki, najnowsza dzielnica, w której mieszka już 30 tysięcy ludzi. W tym: że i Erewań ma swoją najmłodszą dzielnicę nie byłoby nic nadzwyczajnego. Wznosi się w każdym dużym mieście radzieckim. I wszędzie do słowa: Czeremuszki, wywodzące się od moskiewskiego pierwowzoru dodaje się tylko przymiotnik, umiejscawiający dzielnicę. Ciekawa jest ilość osób zamieszkujących Czeremuszki Erewańskie, te 30 tysięcy. 45 lat temu taką właśnie ilość mieszkańców legitymował się cały Erewań, w którym żyje dziś 625 tys. ludzi.

Od prowincji do metropolii

W czasach carskiej Rosji była to jedna z najbardziej zapadłych dziur prowincjonalnych. Zaledwie 20 domów dwupiętrowych, ulice szerokości dwóch-trzech metrów, żadnego przemysłu; tylko jeden warsztat kowalski i mała wytwórnia koniaków.

Dziś — trudno wszystko wyliczyć. A więc kilkadziesiąt dużych zakładów przemysłowych, a wśród nich 10 fabryk elektrotechnicznych, fabryka kauczuku, opon samochodowych, pianin, wyrobów precyzyjnych, maszyn matematycznych, duże zakłady aluminiowe. No i oczywiście armeńska specjalność: supernowoczesna, olbrzymia, wytwórnia koniaków. W okresie władzy radzieckiej — biorąc w tych porównaniach za punkt wyjścia rok 1913 — produkcja przemysłowa całej Armenii wzrosła 80 razy. W ciągu jednego dnia Armenia wytwarza obecnie tyle energii elektrycznej, ile w ciągu całego 1913 roku. Moc energetyczna Armenii jest 15 razy większa niż sąsiedniej Turcji i 32 razy większa niż sąsiedniego Iranu. W przeliczeniu na jednego mieszkańca, w 2-milionowej Armenii wytwarza się więcej energii

elektrycznej niż we Francji, Włoszech czy Japonii.

Ta stawka na energetykę była w Armenii konieczna. Nie ma tu bowiem węgla i ropy naftowej, są natomiast rozliczne bogactwa podziemne — rudy żelaza i miedzi, piryt, mangan, nefelin, molibden, wapień — do których wydobycia i przemysłowej obróbki potrzebna była coraz większa ilość prądu. I on był właśnie jednym z najistotniejszych bodźców, które prowincjonalne miasto i prowincjonalny kraj przekształciły w kwitnącą metropolię.

Kraj ludzi kształcących się

Przemian, jakie zaszły w Armenii, nie sposób jednak mierzyć samymi wskaźnikami ekonomicznymi. Jeszcze po zakończeniu pierwszej wojny światowej 85 procent ludności Armenii, kraju o pięknej starożytnej historii, stanowili analfabeci. Dziś, w Erewaniu, w przestronnym dziedzińcu, który ma powierzchnię ponad 11 hektarów, posiada 11 wyższych zakładów naukowych w których studiuje łącznie 30 tysięcy studentów. Sam uniwersytet grupuje 8 tysięcy studentów, w tym 200 Ormian, mieszkających stale za granicą.

Ormianie — jeśli można i tym razem użyć zwrotu — zagraniczni, to zresztą osoba bardzo interesująca. W 1947 roku rozpoczęła się wielka akcja repatriacyjna, w której toku wróciło do ojczyzny głównie z Francji 100 tysięcy Ormian. Otrzymali tu pracę, pomoc rządu w urządzeniu się, mieszkania lub kredyty na indywidualne budownictwo domków jednorodzinnych, pomoc w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych.

I dali przykład rodakom rozsiadniętym niemal po całym świecie! W latach następnych a zwłaszcza w roku 1962, tysiące Ormian wyraziły chęć powrotu do ojczyzny. Przybyli z Cypru, Egiptu, Iranu, Syrii, by osiedlić się w stolicy Republiki i w innych miastach. Otrzymali pomoc państwa i zadowolili się. Radziecka Armenia stała się prawdziwą ojczyzną narodu, który przez wieki ulegał różnym naciskom, który przed ciemieczkami rozpierał się po całym niemal świecie. Jak mnie poinformowano, obecnie tempo repatriacji Ormian limitowane jest koniecznością nadążania z odpowiednimi przygotowaniami, przede wszystkim w budownictwie mieszkaniowym i podaży miejsc pracy.

Na zakończenie ciekawostka: wśród 13,5 tysiąca starożytnych unikalnych relikwii, jakie zgromadzone w Erewaniu w specjalnie do tego celu wybudowanym muzeum — znajduje się tysiąc relikwii w językach obcych, a wśród nich także polskie. M. in. akt wystawiony przez starościny Potocką w XVII wieku.

W Wydawnictwie Poznańskim

Cecha, wyróżniająca tzw. profil poznański, jest systematyczny udział w drukowanych pozycjach prac poświęconych szeroko traktowanej problematyce nadodrzańskiej, przede wszystkim w dziedzinie naukowej i popularyzatorskiej, ale również i w pięknej (vide niedawny konkurs). W ten sposób powoli zapelnia się niemała luka w naszej wiedzy o najistotniejszych sprawach Polski zachodniej.

Z książek ostatnio wydanych bardzo cenna pozycja jest praca **Alfreda Wielopolskiego „Ustrój polityczny Pomorza Zachodniego w XIX wieku”**. Wydaje mi się, że jak nigdy, potrzebna nam jest obecnie, gruntowna analiza systemu państwa Niemiec w różnych historycznych stadiach rozwojowych. Brak pełnej wiedzy historycznej jakże często prowadzi do uproszczeń i fałszywej oceny wydarzeń. Studium A. Wielopolskiego, oparte o bardzo szeroką literaturę, ukazuje ciekawy okres w organizacji systemu politycznego, utrwalającego się w XIX wieku, w okresie dość silnych fluktuacji koncepcyjnych i nacisków reformistycznych.

„Urbanistyczny rozwój Szczecina”, to praca **Piotra Zaremby i Haliny Orlińskiej**, ukazująca w zarysie chronologicznym dzieje Szczecina od pierwotnego miasta słowiańskiego do końca X wieku, miasta związanego bezpośrednio z polskim zapleczem i tam szukającego naturalnego kierunku roz-

woju, aż po moment zwrotny w dziejach miasta — rok — 1945 — kiedy wraca na stałe pod polską administrację. Zwraca uwagę czytelnika dwa podkreślone przez autorów elementy: trwałość układu przestrzennego Szczecina poprzez wieki i zmienne tendencje rozwoju, co zraża do swoista tradycje urbanistycznej i szkodliwe dla miasta spacenienie jego właściwych tendencji rozwojowych, gdy forsowany był zwłaszcza w XIX wieku kierunek na Berlin, sprzeczny z naturalnym dążeniem do powiązań z polskim zapleczem.

Badaniom dziejów „nowszych” służyć będzie, zwłaszcza w odniesieniu do pierwszych lat po wyzwoleniu, zbiór studiów i materiałów wielu autorów, pod redakcją Bohdana Napierały p. t. **„Polska Partia Robotnicza na Pomorzu Zachodnim”**, rezultat specjalnej sesji naukowej poświęconej temu tematowi.

Miłośników Palmiarni ucieszy wiadomość o ukazaniu się w sporym jak na tego typu monografie — przewodnik nakładzie pracy **Małgorzaty Witkowskiej „Palmiarnia Poznańska”**, z tym, że część akwarjarna opracowana została przez **Adama Taborskiego**. Książkę uzupełnia nawet planik rozmieszczenia roślin.

A teraz rarytas z innej dziedziny. **Alojzy Sajkowski** z niemałym zapewne trudem przetrząsł się przez stopy ksiąg i piśmiel, by w oparciu o nie dać nam błyskotliwie napisane, im-

nujące erudycją, a przy tym sama zawartością materiałowo-aneqdolyczną pasjonujące jak sensacyjna nieomal powieść, studium o Radziwiłłach niewieskich **„Od Sieroi do Rybenki”**. Podtytuł dokładniej nieco precyzuje jeszcze kierunek zainteresowań autorskich: „w kręgu radziwiłłowskiego mecenatu”.

Z beletrystyki odnotować należy nową książkę prozaiczki Ziemi Lubuskiej, gorzowianki, **Ireny Dowgielewicz „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu”**. Jest to tom opowiadań, z kręgu tzw. małego realizmu, pisanych ze skromnością słowa, z wyczulonym spojrzeniem na świat rzeczy i spraw pozornie czesło małych, a wszakże mających nieraz w życiu decydujące znaczenie. Jest i nutka ciepłego liryzmu, ale jest i zalekniecie jakby okrucieństwem świata. Opowiadania nie są równe, za najlepsze uznałbym tytułowe.

Wspomnę jeszcze kilka słusnie wybranych wznowień. A więc **„Wyspiarsze” Leszka Proroka**, powieść związana z dziejami walk o polskość śród-wiska autochtonicznego Pogranicza, ściśle Ziemi Złotowskiej. **Przemysław Bystrzycki** przypomina moim zdaniem najlepszą swą książkę, **„Śmierć nad Aggar-Wadi”**; „Delfiny idą pod wiatr” opowiadania **Jerzego Jana Pachlowskiego**.

Z KSIĄŻKĄ NA TV

Szkic do portretu laureatów

Doroczne nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki za twórczość artystyczną w roku 1965 już zostały przyznane. Wielu znakomitych artystów, podobnie jak w minionych latach, nagrodzono za całokształt osiągnięć. Po wieloletniej pracy, często wielokierunkowej, rok 1965 stał się w jakimś sensie zbilansowaniem pewnego etapu ich działalności twórczej i programem do następnego. Takie właśnie nagrody przypadły w bieżącym roku **Janowi Brzechwie**, **Stanisławowi Ryszardowi Dobrowolskiemu** i **Kornelowi Filipowiczowi**, **Irenie Eichlerównie**, **Januszowi Warneckiemu**, **Dannie Michałowskiej**, **prof. Rudzkiej-Cybisowej**, **prof. Bolesławowi Wytończowi** i kilku innym znakomitym artystom.

Podobnie jak w nauce współczesnej, tak i w sztuce są dziedziny, w których wyniki można osiągnąć wspólnym wysiłkiem. W grę wchodzi film, telewizja i spektakl teatralny oceniany jako całość. Sporo więc, bo aż 9 nagród otrzymały artystyczne trusty. Dwie przypadły w udziale teatrom — krakowskiemu, wielce zasłużonemu kulturze polskiej **Teatrowi im. Słowackiego** i ruchliwemu, ambitnemu **Teatrowi im. Bogusławskiego w Kaliszu**. Możemy szczerze pogratulować sukcesu **Polskiej Kرنice Filmowej** in corpore. Realizatorom filmów **„Trzy kroki po ziemi”**, **„Barwy walki”** i **„Beata”**. Cieszymy się, że wśród laureatów znaleźli się twórcy świetnej serii telewizyjnej **„Stawka**

większa niż życie”, z naszym ulubieńcem, **Stanisławem Mikulskim** vel **Hansem Klosssem**.

Wnikliwe oko komisji nie przeoczyło także indywidualnych osiągnięć wirtuozów polskich świątecznych triumfów w salach koncertowych całego świata. Mamy wśród nagrodzonych **Barbarę Hesse-Bukowską** i **Reginę Smendziankę**, świetną śpiewaczkę **Halinę Lukomską**. Nie zabrakło dowodów uznania dla przedstawicieli innych dyscyplin muzycznych: kompozytorów, dyrygentów, w osobach **Andrzeja Markowskiego**, **Stefana Stulięgrysa**, **Stanisława Włoskiego** czy **Henryka M. Góreckiego**.

Również polska twórczość plastyczna reprezentowana jest na tegorocznej liście nagród w szerokim przekroju. Obok **prof. Rudzkiej-Cybisowej** — **Henryk Stażewski**, nestor kierunku abstrakcyjnego w malarstwie. Obok znakomitej rzeźbiarki, **Zofii Woźnej** — twórczyni tkanych poematów **Magdalena Abakanowicz-Kosmowska**, **Tadeusz Brzozowski** i **Halina Chrostowska**.

Komisja Nagród przypominała nam także osiągnięcia w mniej malarstwowym, w odniesieniu do sztuki, dziedzinach twórczości, honorując **Zenona Wasilewskiego** — film animowany i **Edwarda Hartwiga** — fotografię artystyczną, **Włodzimierza Maciagę** za publicystykę i krytykę literacką i radiowca **Andrzeja Kuśniewicza** (równocześnie autorzy książek). Znaleźli się na liście nagród wybit-

ni reżyserzy **Jerzy Kreczmar** i **Jerzy Goliński**, scenograf **Otto Axer**. Niektóre nagrody przypadły za określone pozycje literackie lub określone tematyki, jak w wypadku czołowego przedstawiciela polskiej powieści fantastyczno-naukowej **Stanisława Lema**, **J. W. Grabskiego** — tematyka ziem zachodnich, **Witolda Zalewskiego** — powieść **„Pruski mur”** czy wreszcie **Ernesta Brylla**, za jego poezję i trzy powieści.

Jest jeszcze jedna kategoria nagród Ministra. Za upowszechnienie. Nazwiska jej laureatów rzadko figurują na afiszach, nie spotyka się ich w prasie tak często, jak nazwiska filmowców, literatów, plastyków. A przecież gdyby nie skromni popularyzatorzy sztuki i wiedzy o niej, entuzjaści, którzy swą inicjatywą budują pomost między sztuką a odbiorcą — cały przebiegaty dorobek twórczy nie mógłby stać się dobrem ogółu. W tym roku spośród wielkiej armii popularyzatorów i krzewicieli kultury otrzymali nagrody: **Zdzisław Rajewski**, **Tadeusz Ochlewski**, **Waldemar Babiniec** publicysta, literat i organizator życia kulturalnego w jednej osobie, kierownictwo słynnego łódzkiego zespołu artystycznego im. **Harnama**, zasłużeni dla swego terenu krzewiciele dóbr kulturalnych **J. Chranicki**, **Maria Walmen**, **Antoni Oleha** i autorka wspomnianych widowisk dożynekowych, **Jadwiga Mierzejewska-Frankiewicz**.

Wszystkim laureatom życzymy dalszych świetnych sukcesów.



JAKI JESTEŚ PRZEMYSŁE!

— pyta **Zygmunt Szelię** w „Polityce”, zapowiadając cykl artykułów na temat struktury tego największego już działu gospodarki, udziału poszczególnych gałęzi przemysłu w wytwarzaniu dochodu narodowego, kierunków inwestycji itd. Nowe kopalnie węgla czy modernizacja kółtowni i produkcja nowoczesnych pieców, hutnictwo czy przemysł samochodowy? — oto niektóre dylematy, stojące — zdaniem autora — przed przemysłem w obecnej fazie jego rozwoju. Analiza dokonywana na tle przemysłu krajów rozwiniętych daje materiał do ciekawych wniosków. Oto „jeden z nich”:

„Idea przewodnią dalszego rozwoju musi być już nie forsowna industrializacja, której towarzyszy (jak to często bywało) zaniedbanie innych dziedzin gospodarki narodowej, a może nawet uprzywilejowanie niektórych działów poza przemysłowych (usługi, częściowo także — rolnictwo)”.

ŚMIERĆ AMERYKANINA

W tym samym tygodniku **Stefan Wilkosz** poświęca artykuł zmarłemu niedawno **Adlai Stevensonowi**, którego nazywa „największym chyba po Rooseveltie politykiem amerykańskim”. „Dlaczego więc przegrywał? Dlaczego nie przeciwstawił się polityce Johnsona? — zapytuje Wil-

kosz. Przecież ten prawdziwie mądry człowiek rozumiał znakomicie całą jej niebezpieczeństwo i krótkowzroczność. Dlaczego Stevenson służył do końca dni swoich polityce, którą pogardzał? Przecież był niezależny, uczciwy, ceniony... Bo myślał a nie działał, bo wiedział — ale nie zwyciężał, bo przekonywał — a nie gwałcił, bo nie umiał zrobić tego jednego kroku, dzielącego go od wielkości”.

A oto inne godne uwagi pozycje „Polityki”: **Jerzy Kleer** kontynuuje rozpoczęty w poprzednim numerze cykl **„Przez pięć krajów”**; tym razem — interesująca relacja o zmianach w gospodarce Bułgarii i Rumunii. **Anna Stroińska** w cyklicznej pozycji „Ludzie nie meble” przedstawia „Prawo i sposoby” — obchodzenia praw przysługujących pracownikom; **Edward Osóbka-Morawski**, uczestniczący jako premier rządu polskiego przed 20 laty w obradach konferencji poczdamskiej, pisze o niej we „Wspomnieniach z Poczdamu”; **Michał Radgowski** w świetnym felietonie **„Aby się nie popsuc”** modyfikuje prawo Parkinsona.

PERSPEKTYWY KONSUMPCJI

Na łamach **„Tygodnika Demokratycznego”** **Zygmunt Szelię** zastanawia się nad perspektywami konsumpcji — indywidualnej i społecznej w przyszłej 5-letce. Wychodząc od założonego do roku 1970 trzydziestoprocentowego zwiększenia, w porównaniu z rokiem 1965, dochodu narodowego przeznaczonego do podziału, Szelię pisze:

„Nie jest to na pewno wzrost wielki i zaspokajający nasze społeczne ambicje. Niemniej jednak trzeba o tych wskaźnikach powiedzieć, że po pierwsze — są one całkowicie realne, po drugie — wyższe niż na ogół osiągane w dotychczasowych planach, po trzecie wreszcie, że przy wypełnieniu

pewnych warunków, mogą być w odczuciu społecznym znacznie bardziej efektywne, niżby to wynikało z samych tylko liczb”.

Zdaniem autora ważne jest nie tylko: ile złotych wpłynie do naszej kieszeni, ale na co te pieniądze zostaną wydane. Tu powinna zadziałać prawidłowa, zgodna z postępowaniem gospodarczym i społecznym kraju polityka cen.

„Otoż wydaje się — pisze Szelię — że w nadchodzącym 5-leciu nieuniknione i niezbędne będą obniżki cen licznych grup wyrobów przemysłowych. Nie tylko dlatego, że będzie to rozszerzać popyt, ale również dla wprowadzenia jakiejś rozsądniejszej niż obecnie struktury cen, czyli wzajemnych stosunków cen różnych wyrobów”.

TAK I NIE O SZCZĘŚCIU

Jerzy Kossak kontynuuje na łamach „Kultury” rozpoczęte w poprzednim numerze rozważania na temat ideologii szczęścia i bóstw kultury masowej. Problem ten podnosi również **Jan Szelię** w stałym felietonie „Kultura” pod tytułem **„Tak i nie”**. Okazja do snutych przez Szelię refleksji jest samobójstwo jednej z najpiękniejszych kobiet świata — **Niny Dyer**, byłej żony barona v. Thysena, a następnie księcia **Sadrudina Khana**, z którym również się rozszedła.

„Niejedną jest taka **Nina Dyer** — pisze Szelię — która doskonałość ciała wyniosła wysoko, której dała wszystko. Jedne popełniają samobójstwa, inne giną żyjąc aż do zgonu naturalnego. Nie brak i takich mężczyzn. Los dał im wszystko, a może powiedzieć by można — więcej niż wszystko! Okazało się, że to wszystko tyle znaczy co nic, mniej niż nie. Chodzi mi o to, czego **Nina Dyer** na pewno nie osiągnęła — szczęścia. Kto wie, czy zastanawiając się nad tym, dojść nie można do przekonania, że szczęście, to znaczy nie tylko wiele mieć

i wiele osiągnąć, ale także i dążyć, ciągle do osiągnięcia dążyć. Mieć nie tylko za sobą ale i przed sobą (...) Kto wie — zastanawia się autor — czy głównym powodem niepowodzeń w dążeniu do szczęścia nie jest pojmowanie tego dążenia w kategoriach zbyt osobistych, egoistycznych, tzn. w tych, w których się ono nie mieści. Kto wie, czy szczęście nie daje to, co nas niepokoi, a nie to co nas skutecznie zaspokaja. Głupie to i małe szczęście dzisiejsze, które np. nie bierze pod uwagę losu dalekich Wietnamskich (...). I u nas dzieje się to samo. Kobiety i mężczyźni nieraz w rozpaczli targną się na swe życie. Cóż, rozwiązaniem podstawowych problemów społecznych i podstawowych spraw bytu i rozwoju narodowego nie jest jednoznaczne z rozwiązaniem wszystkich między-ludzkich konfliktów. Socjalizm nie niesie ze sobą lekarstw na miłość niewzajemną, na złość, podłość, nienawiść. On nie obiecuje, jak romantyzm przeobrażenia zjadaczy chleba i mięsa (którego im ciągle raczej za mało) na anioły. Niemniej jednak nie można tego dziś właśnie nie stwierdzić, iż to on właśnie, on jedyny w dzisiejszym świecie stworzyć może najbardziej powszechne, a więc społeczne warunki dla szczęścia indywidualnego. A więc i czegoś, a więc i stanu ogólnego, który nazwać by można szczęściem narodowym”.

Czytelnikom interesującym się problemami materialnego ekranu sfinalizujemy ukazanie się niemałego z kolei dodatku „Kultury” pt. **„Telekultura”**.

*

„Życie Literackie” zwróciło się do kilku pisarzy i uczonych z prośbą o krótką odpowiedź na trzy pytania dotyczące zjawisk życia kulturalnego i naukowego minionego dwudziestolecia. Na pytania te odpowiadają: **prof. Konstanty Grzybowski**, **Wilhelm Szewczyk**, **Władysław Feljki** i **Artur Sandauer**. Ponadto tygodnik zamieszcza trzeci z kolei fragment książki **Melchiora Wańkowicza** która niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa „Iskry”.